Stadium szklanego zapomnienia MONIKA DUDKA

Czas to niejednoznaczne słowo. Jest jak ciągły, niekończący się przepływ rzeki, która prze naprzód, wlokąc się od zachodu na wschód. Jest w ciągłym ruchu i nie potrzebuje choćby najskromniejszego spoczynku bądź zmiany rytmu. Wbrew ludzkim teoriom nie ma cudownej mocy leczenia ran i zacierania śladów, a wręcz przeciwnie... Dzięki temu zmęczony wlekącą się imprezą Konstanty powitał późną godzinę nocną bez wyrzutów.

Resztkami świadomości zarejestrował, że rozemocjonowany deszcz tupał ze złości po okiennicach, a niebo ryczało głośnymi grzmotami. Pionowe ściegi ulewy zszywały czarne chmury z równie czarnymi, wąskimi uliczkami Krosna. Światło niskich, klimatycznych latarni, zduszone deszczem,tuliło się do bruku Rynku. Właściwie to zapach stęchlizny i wilgoci, unoszący się z ponurych zaułków starych kamieniczek i sączący się przez niedomknięte okno, odbierał mu chęć powrotu do koła zębatego czasu. Na jawie czuł coraz wyraźniej, że życie sypie mu się niespodziewanie, więc zdecydowanie wolał pozostać na salonach Morfeusza. Jakby na złość, jego telefon zaczął krzyczeć przeraźliwie.

Nocą wlał w siebie tyle alkoholu, że boląca głowa skupiała się tylko na jednej, uporczywej myśli: stajesz się powoli osobą, którą nigdy nie chciałeś być. Momentalnie powstrzymał odruch wymiotny, przełykając szybko ślinę i głęboko oddychając. Schowana nie wiedzieć gdzie komórka znów zaczęła hałasować. U podstaw wszystkiego, co ruchome i nieruchome, leży bezdenny mrok; jednak Konstanty, widząc go zaraz po otwarciu oczu, w swój pierwszy wolny od dawna weekend, był niepocieszony. Odebranie telefonu w tym stanie przyszło mu z trudem.

— Czołem, młody. Wiesz, z jaką lubością wysyłam na urlopy, ale też jak bardzo doceniam prowadzone przez ciebie sprawy... Melduj się szybko w pracy; urlop skończysz kiedy indziej. Pod nosem dosłownie stygnie trup! Klejnotu nie da się wypolerować bez tarcia ani człowieka udoskonalić bez prób – jak zwykle sentencjonalnie dorzucił w słuchawkę Sobański. — Bierz dupę w troki i do roboty! Jeśli się spiszesz, podwyżka murowana.

Wyjaśnienia przełożonego umiejętnie rozbudziły imprezowicza. Choć jego pamięć wciąż odmawiała poskładania w całość układanki wczorajszych obrazów, resztki rozumu, podpowiedziały mu, że nie ma co dyskutować. Z wysiłkiem, jakby to była co najmniej droga na kalwarię, dowlókł się do łazienki. Następnie stanął przed lustrem. Kasztanowe włosy zmierzwione, czarne oczy ozdobione sinymi półksiężycami, cieknący, czerwony nos... Obraz nędzy i rozpaczy wysoki na metr osiemdziesiąt siedem, odziany w cudze, brudne łachmany...

Obserwacje przerwał gwar rozmowy, który dobiegł z parteru. Szklarski szybko zlokalizował sweter wydziergany przez matkę.

—Tyle jej zostało po latach pracy w krośnieńskiej "Lniance"— westchnął.

Następnie złożył naznaczone małymi rankami dłonie w łódeczkę, nabrał odrobinę kranówki i obmył twarz.

Pomimo cierpień duszy, nieznośnego bólu głowy oraz zakwasów nogi funkcjonowały w miarę poprawnie i kiedy ogarnął się na miarę możliwości, przeniosły go do skromnego salonu utrzymanego w odcieniach zieleni. Codzienność. Jedynym urozmaiceniem była wczesna godzina i gość...

— W końcu się zebrałeś książę — zgryźliwie zażartował Dorian Guzik, wsuwając głowę w przymknięte drzwi. Uśmiechał się krzywo jednocześnie zajadając matczyne placki, którymi

zdążyła go poczęstować na wejściu – wszak uwielbiała udawać gościnną i dobrze wychowaną. Kobieta zakochana w pozorach. Konstanty poczuł zniesmaczenie. Uwielbiał Doriana, nazywanego dla żartu Grayem, jednak widok jego twarzy w tej przeklętej norze wyraźnie go rozdrażnił. Nie chciał pokazywać ludziom tego małego piekła na ziemi i jego strażniczki — matki, która pomimo wielu ludzkich I matczynych zaniedbań, ciągle usiłowała wyjść na wzorową gospodynię.

— Wychodzimy — rzucił nieuprzejmie do rodzicielki, która nawet na niego nie spojrzała. Później pośpiesznie dał nogę na ciemną klatkę schodową, ciągnąc za sobą kumpla, który wydawał się wszystko rozumieć.

W nieoznakowanym wozie policyjnym panowała napięta atmosfera, której nie mógł rozładować nawet sączący się z głośników polski jazz. Opel Astra płynął przez zaciemnioną ulicę Piłsudskiego, minął stary cmentarz i z wrodzoną gracją wjechał w Krakowską.

— Byłeś już na miejscu? — zagadnął w końcu Konstanty, siedzący w fotelu pasażera. Choć myślami był gdzie indziej, bacznie obserwował, co się dzieje za oknem. Wreszcie samochód zwolnił, by koło budynku gazownictwa skręcić w lewo. Cień podniecenia nową zagadką spadł nagle na barki Szklarskiego. W Krośnie nie dochodziło do takich zdarzeń zbyt często... Zasadniczo jedyna sprawa kryminalna, która prawdziwie utkwiła mu w pamięci, pochodziła z 1999 roku. Fakty dotyczące zabójstwa właściciela kantoru czasami gnębiły go po nocach.

— Nie. Sobański kazał mi od razu przyjechać po ciebie, bo wiedział, że zabalujesz. Wiem tylko, że ofiarą jest jakiś studenciak. Nasi myśleli, że to przypadkowe auto go połaskotało, bo ciało leżało na ulicy, po drugiej stronie huty... — odparł mezomorficzny policjant po trzydziestce. Choć mówił o zbrodni, czynił to z lekkością dużo większą niż miał w zwyczaju robić to młodszy o całe dwa lata Konstanty, zatrudniony w wydziale zabójstw.

Zwykle ruchliwa i gwarna ulica Tysiąclecia dziwnie zamilkła, a cisza przerywana tylko lamentem deszczu, była straszniejsza od najgłośniejszych hałasów. No tak, zatrzymano ruch. Wokół jakiegoś tobołka leżącego na skraju ulicy krzątało się kilka osób współpracujących zgodnie i bezszelestnie jak jeden organizm. Na pierwszy rzut oka było widać, że znają się na tej robocie.

Instynkt i adrenalina zadziałały; ospały do tej pory Konstanty, wyskoczył z wozu i natychmiast rozłożył parasol. Zapach rozwodnionej krwi brutalnie uderzył w jego nozdrza, a wiatr przewiał zmęczone ciało do szpiku kości. Nim zdołał się do tego przyzwyczaić, do jego boku dopadła tęga kobieta z jeszcze tęższym notesem. Deszcz padał na jej zmarnowaną twarz i notes, ale to zdawało się być jej najmniejszym zmartwieniem.

W takich chwilach, pod powiekami rysowały się wspomnienia z pierwszej sprawy. Spocone ręce, rozczłonkowane z precyzją ciało, mnóstwo krwi i...

— Miło pana gościć, pomimo niemiłej sytuacji — przywitała się serdecznie, na co Szklarski tylko kiwnął głową.— Wielu rzeczy nie udało się ustalić i prawdopodobnie nie będzie to możliwe. Do zgonu doszło między dwudziestą-trzecią a północą. Mamy piątą i wciąż mocno pada, więc od tego czasu wiele dowodów odpłynęło. Jesteśmy natomiast pewni, że ofiara zginęła od ciosu w potylicę i nie próbowała się przed nim uchronić. Narzędziem zbrodni był szklany wazon, którego odłamkami oprawca dodatkowo zmasakrował ciało.

— Obrażenia zadano więc z zamiarem spowodowania śmierci... Czy to może wskazywać na silne emocje bądź uczucia związane z ofiarą? — zagadnął.

— Hmm, to wielce prawdopodobne.
Konstanty wysłuchał raportu kobiety. Chcąc sprawiać wrażenie przydatności, wciągnął na przemarznięte dłonie rękawiczki. Parasol oddał z kolei Dorianowi. Idąc ramię w ramię, ominęli tabun specjalistów i dotarli do miejsca, gdzie leżał nieboszczyk. Jakiś policjant ostrożnie podniósł folię, którą nakryto nieszczęśnika. Burza nerwów powodująca drżenie w końcu ustąpiła i Konstanty mógł wreszcie odetchnąć. To były rutynowe czynności.

Bezwładne zwłoki zaczęły stygnąć. Kolejny kawałek mięsa, pusty flakon pozbawiony duszy. Brunet obserwował ciało kawałek po kawałku, jak smakosz, dopóki nie doszedł do pociętej twarzy ofiary... Poczuł wówczas smak najprawdziwszego przerażenia.

Wielkimi oczami objął leżącą na całunie jesieni postać. Nie dowierzając, nerwowo zmierzwił swoje lśniące w blasku księżyca loki. Jak otumaniony posunął się w kierunku wyspy ciemnych ubrań, brodząc w wodzie, która zaczęła tworzyć kałuże na ulicy. Już wiedział, że niejeden raz widział tego wyprutego z życia człowieka w pełnej krasie kolorów.

Zgasły student ubrany był w przypadkowe, niepasujące do siebie, ubrania (również znajomego pochodzenia), a jego kręcone, czarne jak węgiel włosy rozsypały się w kałuży krwi. Oto odessany z woli życia, leżał przed nim jego brat.

Najgorsza nie była strata, ale to niezrozumiałe uczucie rozdarcia, które narodziło się pod jego czaszką. To było absolutnie druzgocące, że ktoś dopuścił się takiego czynu... Z drugiej jednak strony przez myśl mu przeszło, że Antek zasłużył na to, by leżeć tak żałośnie. To dla niego rodzice starali się zachowywać pozory i zamykali go w bańce mydlanej. To w nim widzieli nadzieję i dla niego kłamali, że potwory nie istnieją.

— Może to w porządku, że potwory, o których istnieniu nie miał pojęcia, go pochłonęły? Może kiedy Antek będzie tam, skąd nie ma powrotu, w końcu ja będę potrzebny? — przemknęło mu przez myśl.

Nie powinien był tak myśleć; to zatruwało jego duszę. Jego myśli były gorzkie i choć zdawał sobie sprawę z tego, że jego skrzydła mogą się roztopić, a on runie w dół jak Ikar, nie mógł przestać analizować. Był tam tylko ciałem, więc kiedy Dorian wcisnął go do auta i kazał ochłonąć na komendzie, nawet tego nie zarejestrował. Z tym samym otumanieniem stanął na ulicy Lwowskiej. Wówczas jego oczom, ukazał się ogromny, wysmukły budynek przypominający bardziej blok aniżeli komendę policji. Białoszara farba widocznie pozieleniała i usiłowała odkleić się od powierzchni, co było widoczne nawet w tak słabym świetle. Przez szklane drzwi wszedł do środka.

— Nie próbuj rozwiązywać wszystkich tajemnic wszechświata. Jeśli ta sprawa cię przerasta, to ją zostaw. Porozmawiam z Sobańskim — tymi słowami, przywitał go komendant.

— W porządku, poradzę sobie z tym — odparł nieobecny Konstanty, ciągle wracając myślami do martwej twarzy.

Konstanty wziął się do roboty. Sporządził krótką notatkę z wizyty na miejscu zbrodni i z dokładnością przyjrzał się zdjęciom, które wykonano podczas wstępnych oględzin. W przerwach sączył wrzącą kawę bez cukru, jednocześnie przemierzając bezdroża swojego umysłu w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania: dlaczego, co dalej? Odpowiedź nie nadchodziła. Jedynym pewnikiem było to, że kiedy wejdzie za próg domu, zastanie tam tsunami łez i rozliczne przekleństwa. Tego bał się najbardziej. Osobiście odciął się myślami

od tożsamości ofiary bez większego trudu. To była zwykła rutyna, która I teraz zadziałała bezbłędnie.

Z wieczora zorganizował naradę z innymi uczestnikami śledztwa.

—Ten, kto znalazł zwłoki, powiedział coś ciekawego? — zagadnął Doriana, którego zadaniem było przesłuchać tego człowieka.

— Nie widział więcej, niż widzi aktualnie nieboszczyk... — pozwolił sobie na żart, który z niesmakiem przyjęła reszta osób, siedzących przy okrągłym stole.

— W porządku... A monitoring? — ciągnął nieporuszony Szklarski.

— Ten firmowy nie działa. Trzymają go, żeby sprawiać pozory i odstraszać małolatów — odpowiedział ktoś.
Konstanty z roztargnieniem pomasował nasadę nosa. Ciągle byli krok do tyłu. Na miejscu, zabezpieczono tylko znikome ilości krwi innej grupy. To by było na tyle.

— Cóż. Może zwróćmy uwagę na ewentualny motyw. Sama pani mówiła, że mogło chodzić o prywatne porachunki, na co wskazuje ślepa siła, z jaką zadano ciosy... Jakby zabójca działał w wielkich emocjach....

***

Portal Krosno 112 błyskawicznie podał do informacji publicznej wiadomość o feralnym znalezisku pod hutą. Odpowiedzialność społeczna obudziła się w ludziach, więc przyjaciółka Antoniego, która w normalnych okolicznościach naplułaby Konstantemu w twarz, sama zgłosiła się na posterunek, aby nie wyjść na osobę, która utrudnia postępowanie. To bardzo mu odpowiadało; był dość czepliwym człowiekiem, więc postanowił iść swoim tropem, a nikt nie znał wrogów jego brata lepiej niż jego przyjaciółka...

— Więc... był ktoś, komu mogłoby zależeć na jego śmierci? — zapytał wprost.

— Poza tobą? Niech się zastanowię... — blondynka odparła z wyczuwalnym cynizmem, na co Konstanty uniósł brew.

— Jest taki jeden na naszym roku... Adam. Chyba Pelczar? Walczyli ze sobą o stypendium i Adam się odgrażał często.

To wystarczyło, by rozbudzić bujną wyobraźnię Konstantego. Jeszcze pewniejszy swojej teorii okazał się na kolejnym przesłuchaniu, które zdecydował się przeprowadzić samodzielnie.

Adam wpadł na nie jak poparzony, krzycząc:

— Jestem niewinny!

Jego zapał, ostudził wyraźnie zniesmaczony Konstanty, pełen nadziei na to, że to jego ostatni kontakt z tą sprawą. Co prawda siedział nad nią dopiero od dwóch dni, ale to wystarczyło, żeby poczuł się zmęczony psychicznie. Bliskie pokrewieństwo z denatem obciążało go bardziej niż myślał.

Niestety, stuprocentowe alibi potencjalnego sprawcy, skazało Konstantego na porażkę...

Przez następne dni łapał się najmniejszej poszlaki, jednak na marne. W pewnym momencie był tak zdesperowany, że winą obarczył lokalnego pijaczynę i miłośnika piwiarni ozdobionej

licznymi kwiatami, mieszczącej się na Wojska Polskiego 1. Jednak nijak nie umiał wyjaśnić, skąd delikwent wydarł szklany wyrób...

— Pochodzisz do tego zbyt poważnie, stary. Wrzuć na luuuz — powiedział mu któregoś razu Dorian, ale Konstanty nijak nie umiał zastosować w praktyce tej rady.

***

Piątego dnia, nastąpił przełom. Nie był to kamień milowy w sprawie, a w życiu Szklarskiego. Kiedy siedział ze zmarnowaną twarzą i ustami umoczonymi w smakowej małpce, poczuł na plecach dotyk. Natychmiast oderwał wzrok od papierkowej roboty i przeniósł go za siebie. To była jego wycieńczona żałobą matka. Jej surowe oczy, które były przedmiotem wielu koszmarów, po raz pierwszy popatrzyły na niego miękko. Wówczas przez jego głowę mimowolnie przefrunęła myśl, że to w porządku, co się stało. Wiedział, że jej spoufalenie spowodowane jest szokiem i brakiem lepszego wyboru, ale z jakiegoś powodu chciał wierzyć, że w końcu zrozumiała jego wartość...

— Nie pij już. Wiesz, że to ci nie służy... Nie chcę do tego wracać, ale ostatnio tak przedobrzyłeś, że znalazłeś wspólny język z ojcem. Dobrze, że przynajmniej cię odwiózł i nie kazał spać na melinie. Teraz, kiedy tylko ty mi zostałeś, muszę dbać o to, byś nie stał się osobą, którą nie chcesz być.

— Słucham? — zająknął się.

***

Prawdziwa burza, przyszła dwa tygodnie później. Wrzawę wywołała rekonstrukcja naczynia, którym dokonano zbrodni. Konstanty zlecił to zadanie technikom z czystej bezradności, bo śledztwo utknęło w martwym punkcie. Na powierzchni szkła odkryto charakterystyczny wzór — łasicę z liściem aloesu. Okazało się, że ten przedmiot nie doczekał się masowej produkcji w hucie, lecz został wykonany przez osobę prywatną. Zatem nic dziwnego, że podejrzenia spadły na twórcę dzieła, do którego nie było trudno dotrzeć. Niczego jednak nie można mu było w związku ze sprawa udowodnić.

Jednak kompletnego zdziwienia nie umiał ukryć Konstanty dopiero wtedy, gdy na posterunek ściągnięto jego ojca. W ogóle nie spodziewał się, że to przyniesie rezultat.

Choć wszystkie blizny na jego duszy odżywały w towarzystwie tego człowieka, nawet przez myśl mu nie przeszło, że był poszukiwanym. Owszem, był tyranem, ale nie miałby w sobie na tyle bezwzględności, aby podnieść rękę na swój "promyczek", jak w dzieciństwie zwykł był nazywać Antka. A poza tym było to technicznie niemożliwe, by był w tamtym miejscu w feralną godzinę.

— Ma pan jakieś alibi? — zadał pytanie jeden ze śledczych.

— Żadnego.

Ciemnooki przesłuchujący się z boku, zachodził w głowę.

— Czemu mnie nie wykorzystasz? Przecież opiekowałeś się mną wtedy... — pomyślał, jednak nie odezwał się choćby słowem.

Było jasne, że podstarzały pracownik huty stanie się kozłem ofiarnym. W jego działaniach dopatrywano się wpływu alkoholu, a teorię trudno było obalić przez wzgląd na przeszłość mężczyzny. Zresztą nikt, nie zamierzał tego robić, z Konstantynem włącznie. Jego serce

krwawiło, a ciało cierpiało. To tak, jakby tonął we łzach, odurzony melancholią. Próbował się utrzymać, nie poddać sentymentom. Nie współczuć. Ale jakaś jego część desperacko chciała się pokłonić, wyciągnąć rękę. Niewypowiedziana nigdy głośno potrzeba zgody unosiła się na wietrze jak latawiec trzymany na sznurku na granicy zerwania. Chęć wybaczenia i pomocy z każdą chwilą szarpała Konstantym coraz mocniej. Ale on wciąż stał w miejscu, niezdolny do ruchu, zagubiony.

Służby uczepiły się jego ojca, ale potrzebowały twardego dowodu. Miał być gwoździem do trumny; okazało się, że nie trzeba było na niego czekać wieki. Konstanty był pewien, że to pomoże wyleczyć mu duszę, więc zlecił przeszukanie jego meliny. Osobiście udał się na szybki obchód po okolicy, którą ojciec uznawał za swoją. Z kołatającym sercem wylądował w okolicy ogródka Jordanowskiego, w którym trwały jesienne prace porządkowe.

Na rezultat rewizji w melinie nie musiał czekać długo:

— W lokum podejrzanego znaleźliśmy ubranie splamione krwią grupy, której obecność odnotowano na miejscu zbrodni – usłyszał przez telefon od Doriana, który był uczestnikiem przeszukania.

Jego dusza zachorowała po tej wieści jeszcze mocniej, choć był pewny, że gorzej być nie może. Ze szklistymi oczami błagał komendanta o poufne spotkanie z ojcem. Niespodziewanie poklepał Konstantego po plecach i podpisał zgodę na widzenie.

Za chwilę młody Szklarski usiadł na krzesełku przy niewielkim blacie w klaustrofobicznym pokoju. Zadumał się. Z zamyślenia wyrwało go skrzypnięcie po drugiej stronie i symfonia bransoletek, obijających się o siebie. Postarzała nagle twarz ojca, pocięta głębokimi zmarszczkami, była dla niego nieznośnym obrazem.

— Już wszystko wiem, więc powiedz mi, jak to...

Gryząca świadomość sprawiła, że ręce oblazły mu potem, a ślina zgęstniała...

Długie westchnienie starszego mężczyzny, zaświszczało mu w uszach.

— Zaproponowałeś Antkowi spotkanie... Brat twój zbierał się z taką radością, że domyśliłem się, do kogo idzie. Poprosiłem, aby wręczył ci ten przeklęty wazon, znak mojej pokuty, bo wiedziałem, że wtedy go nie wyrzucisz... Ale twój żal okazał się nieprzebłagany. Rany na twoich rękach zabliźniły się, a mózg wyparł zdarzenie z pamięci. Więc w porządku. To po części i moja wina, więc zniosę to za ciebie – wyszeptał z wyraźnym wysiłkiem.

W jednym momencie budowana latami terapii stabilizacja, runęła.

***

Konstanty nie pamiętał, jak znalazł się na zewnątrz. Przez wiele kolejnych godzin, włóczył się po pustym starym cmentarzu, usiłując pozbierać myśli. Wyglądało na to, że nienawiść i uraza odziane w szaty zapomnienia, dojrzewają i mogą boleśnie zmaterializować się w czynie. Czy rzeczywiście na moment stał się nieświadomie kimś, kim nie chciał być? Czy też było to po prostu misternie zaplanowane morderstwo, w które został świadomie przez kogoś uwikłany... Listopadowy stary cmentarz nie miał na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi.